ROK VI. CHICAGO, dnia 12 go LIPCA, 1888. **No. 28**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 12 Lipca	Jana Gwalberta wyz.	Tolimir bł.
Piątek, 13 lipca	Małgorzaty p. m.	Radomiła.
Sobota, 14 lipca	Bonawentury bis. wyz.	Dobrogost.
Niedziela, 15 lipca	8 ma po Św. Henryka ces.	Radosław.
Poniedziałek, 16 lipca	N. M. P. Szkapl.	Dzierżysława.
Wtorek, 17 lipca	Aleksego w. i Berty p.	Dzierżykraj.
Sroda, 18 lipca	Szymona z Lipnicy w.	Unisław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ VIII mą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XVI od w. 1 do 10.

W owym czasie mówił Jezus do uczniów Swoich: Był niektóry człowiek bogaty, który miał włodarza, a ten był doniesion do niego, jakoby rozpraszał dobra jego. A wezwawszy go, rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? oddaj liczbę włodarstwa twego; albowiem już nie będziesz mógł włodarzyć. I mówił włodarz sam w sobie· Cóż uczynię, gdyż Pan mój odejmuje odemnie włodarstwo? kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem co uczynię, że gdy będę złożony z włodarstwa, przyjmą mnie do domów swoich. Wezwawszy tedy każdego z osobna dłużnika pana swego, mówił pierwszemu: Wieleś winien panu mojemu? A on odpowiedział: Sto barył oliwy. I rzekł mu: Wieźmij zapis twój, a siądź natymiast i napisz pięćdziesiąt. Potem drugiemu rzekł: A ty wieleś winien? A on rzekł: Sto beczek pszenicy. I rzekł mu: Weźmij zapis twój, a napisz ośmdziesiąt. I pochwalił pan włodarza niesprawiedliwości, iż roztropnie uczynił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad synów światłości. A ja powiadam wam: Czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków.

Leki na strachy smiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Nie daleko od niego leży ta osoba, która mu się na rozpustę oddała. Była ochrzconą i przez chrzest św. poświęconą na świątynię Boga; i tę świątynię Boga najniegodziwszym występkiem splamiła i splugawiła, nadużyła jej do zwierzęcej żądzy i dozwoliła jej nadużywać. Teraz oto leżą splugawione członki w grobie, i nie mogą się już ruchać; zgnielizna pożera psujące się ciało, które już za życia zeszpetniało przez wyuzdaną namiętność i życie rozwiozłe. Ale nie starzeje się i nie umiera przeklęctwo rodziców, przeklęctwo braci i sióstr, przeklęctwo zmarniałych jej dzieci, przeklęctwo Boga dla jej grzechu i zgorszenia; żaden robak nie zniszczy tego przeklęctwa....

Teraz przyszliśmy do grobu cichego, spokojnego człowieka. Był pobożny i bojący się Boga, żył zawsze w zgodzie z sługami i w zgodzie z sąsiadami. Wychował swe dzieci na ludzi pracowitych, obyczajnych i ludzkich. Ubogiemu za drzwiami nie dawał wiele, ale sam wyszukiwał ludzi zostających w biedzie i wspierał ich wedle możności. I tym ludziom był on słodkim aniołem Bożym, bo serdecznem słowem pocieszał ich chętnie, a wsparciem zmniejszał ich kłopoty i niedostatek. Nieraz, sam sobie ujmował, aby mógł dać więcej, a gdzie nie mógł dopomódz, tam się serdecznie litował. Mało co o nim mówiono, a kiedy przypadkiem w gościńcu zgadano się o nim, to się śmiano z niego, że swój grosz traci na włóczęgów, dziadów, zamiast żeby sam sobie pozwolił to i owo. Kiedy umarł, nie wiele kto z bogatszych szedł za jego trumną, ale w niejednej chałupie płakała niejedna matka, albo stary schorzały ojciec, kiedy mu dzwoniono do grobu, i skarzyli się: „ach, gdybym ja to lepiej był umarł za niego; teraz mi się już życie sprzykrzyło.“ A wszyscy mówili: „oj, to był człowiek poczciwy.“ Sąsiad jego, co się zwykle boi umarłych i pokutowania, i wiele o tem umie opowiadać, mówił mi: „przy

jego trupie, tobym sam przez całą noc mógł nie spać, i nic bym się nie bał.“ Biała różyczka rośnie teraz na jego grobie. Dziewczę ją zasadziło, które był wziął do siebie jako maleńkie jeszcze dziecię. Kiedy jej matka umarła, a ojciec się oddał pijaństwu i psuł dzieci, wspomniał sobie ów człowiek, że jest chrzestnym tej dziewczynki, i co obiecał jej w kościele przy chrzcie. Dla tego wziął ją do siebie, nauczył ją pacierza, pracy i obyczajności, tak że każdy, co ją jeno zna, chętnieby ją przyjął na służbę. Ponieważ była wstydliwa i nie chciała być widzianą przez ludzi, poszła raz raniuteńko, kiedy padało, na cmentarz, aby zasadzić krzaczek róży. I krzaczek ten podlany deszczem i jej gorącemi łzami, rośnie teraz jak się patrzy, otoczony, kolcami i zielonemi listkami koło krzyża, jak skromny obraz niewinności, wierności, wdzięczności, miłości i boleści.

Tam dalej leży wdowa. Ubogi krzyżyk bez podpisu, żeby mniej kosztowało, stoi na jej grobie. Nie będę ci tu szeroko opowiadał, jak jej się tu wiodło, jak zniosła niesprawiedliwość i ucisk, bo się nią nikt nie zajmował, jak jej syn najstarszy musiał iść do wojska, i stara ta i słaba kobiecina gospodarstwem się trudnić nie mogła, jak jej chałupkę sprzedali, że nie mogła pozostałych długów po mężu spłacić, jak w końcu musiała się stać ciężarem gminy, kiedy ciężko zachorowała; jak przy tem nie ludzko się z nią obchodzono i gorzkie wymówki ponosiła, że tyle kosztuje gminę i tak długo nie umiera; jak jej syn, który na jesień miał powrócić od wojska, na rewiji spadł z konia i umarł, i jak wreszcie w najcięższej swej chorobie do innego domu ją przeniesiono, gdyż kto inszy chciał ją tańszym kosztem mieć u siebie, i jak w kilka godzin po tych swoich przenosinach Bogu ducha oddała. Ale ona nie skarżyła się wcale na to wszystko i nie narzekała, ale kiedy nowe cierpienie zraniło jej serce, spokojnie patrzała w niebo i szeptała: „Panie nie moja, ale twoja wola niech się stanie.“

Już od wielu lat nie wiedziała, co to radość i wesele i przyzwyczaiła się do cierpień i nędzy, że jej nigdy na myśl nie przyszło, aby kiedyś lepsze dla niej przyjść miały czasy.

Jak jej też to tam było, kiedy śmierć ten twardy łańcuch ciała, którym była do ziemi przywiązaną, zerwała, a jej dusza uleciała do Boga! — Tak wzbija się orzeł, co był schwytany i teraz go wypuszczą, w bystrym locie, ucieszony, ku słońcu; tak spieszy gołąb, w dalekiej stronie schwycony, z utęsknieniem na stare swoje miejsce, kiedy litościwa ręka skrzydełka mu odwiązała.

Jak ta dusza w długim, gorącym ogniu cierpień i smutków czystem złotem przed Panem się stała; jak musi być przepełnioną niebieską radością, że teraz może patrzeć w o oblicze Boże i na Jego majestat i wieczne szczęście, że znalazła wszystkich, którzy jej na ziemi byli drodzy; teraz zdrowa i pełna szczęścia na wieki!

Jeszczećbym cię mógł około wiele grobów oprowadzać i w tych grobach pokazywać ciała ludzi, o którychby się to i owo miało do nadmienienia. Ale ci jeno jeszcze jeden świeżo wykopany grób pokażę, na którym leży wieniec kwiatów. W tym grobie leży dziewczynka, która miała bodajnie 14 czy 15 latek. Dostała febry nerwowej, kiedy pilnowała służącej, która najpierw na tę febrę zachorowała. Dziewczynka ta litowała się nad służącą i wiele nagadała swym rodzicom i mocno ich prosiła, ażeby jej w chorobie z domu nie wypędzali: — ona sama będzie za służącą pracować. I tak też robiło to pobożne dziecko, i pilnowało służącej, czuwało przy niej i czytało jej modlitwy z nabożnej książki. Służąca ozdrowiała, ale córeczka dostała tej samej choroby, i w dziesięć dni umarła, jak gdyby ją Bóg chciał wynagrodzić najpiękniejszą śmiercią, za drugich poniesioną. — Urwij listek sobie z zwiędłego wianeczka na jej grobie i włóż go do książki od nabożeństwa, albo zatknij go za krucyfiks w twej izbie, co się zawsze przed nim modlisz, i ile razy się modlisz, patrz na ten listek z wieńca tej dziewczynki i proś także o taką miłość bliźniego i o takie poświęcenie.

Teraz jeszcze nie odchódź, ale zostań trochę sam na sam, usiądź, oprzyj głowę na ręce, i zważaj na myśli, jakie ci przychodzą do duszy i odchodzą, zatrzymuj je i zatapiaj się w nich. Może ci też jeszcze sumienie wewnątrz osobne powie

kazanie upominając i ostrzegając, albo pocieszając, jak ci tam właśnie potrzeba. Wysłuchaj je, aż ci wszystko wypowie; przyrzecz i przedsięweźmij coś takiego, coby ci się bardzo przydało, kiedy twe ciało będzie w grobie spoczywało, i pomódl się jeszcze nieco, aby twoje przedsięwzięcie, w uczynek się zamieniło. W prorockiej księdze ś. Jana tak stoi napisane: „Widziałem umarłych, wielkich i małych, stojących przed tronem; otworzono księgi i sądzeni byli umarli, jak było napisane w księgach, według uczynków ich.“ Rozważ więc, co już teraz o tobie i życiu twojem w tych księgach będzie napisane, i cobyś chciał, aby później było napisane, i co za wyrok po zrachowaniu wszystkiego na ciebie zapadnie. Rozważ to; twoje sumienie z pewnością nie będzie milczało, ale różne stare historye poruszy, odkryje i wydobędzie na wierzch i zatrzyma cię przy rzeczach, którebyś chciał na wieki zapomnieć, gdyby tylko to było możebne. Nic nie szkodzi; niech cię wysiecze i wychłoszcze trochę sumienie, a ty przyjmij chętnie jego karanie, bo to na twoją korzyść. Dusza żalem i upokorzeniem przejęta i niejako pokrajana, a łzami zwilżona, chętnie przyjmuje słowo Boże i to słowo wypuści kiełki, rość będzie w wierze i wyda miłość, a z miłości wystrzeli piękne, pobożne, chrześciańskie życie. O, bracie, który to czytasz, teraz jeszcze jesteś przy życiu, ale przyjdzie czas, że cię już nie będzie. Zastanów się, zastanów się nad tem i patrz naprzód, abyś usłał sobie miękki grób, abyś zgotował sobie, kiedy jeszcze dzień po temu, słodki pokój i chwalebne zmartwychwstanie. C.d.n.

WYROK NA ŚMIERĆ.

I.

Ciemna noc rozlała się nad lasem, parne powietrze zapowiadało bliskie grzmoty, nudna cichość panowała w sośninie. Na wieży kościółka pod górą wybiła północna godzina, głuchy głos szumiał po lesie. Z kościoła wyszło dwoje ludzi: kapłan i sługa kościelny z latarnią. Cichaczem postępują oba pod górę, ksiądz niesie na sobie wiatyk święty, a

kościelny tedy owdy brząknie dźwięcznym dzwonkiem i przyświeca podeszłemu już w latach słudze Bożemu, aby się nie potknął na wązkiej korzeniami zarosłej ścieszce. Kapłan postępuje chyżym krokiem,bo w chatce na szczycie góry chora na śmierć stara Magda. Już od kilku lat tam mieszka, lecz nikt się o nią nie stara. Jakiś podróżny przechodził przypadkiem około chaty, znalazł tam chorą staruszkę i uwiadomił proboszcza.

Nasi dwaj wędrowcy drapią się wyżej po korzeniach, aż oto już blisko celu potknął się kościelny, wywichnął sobie nogę i upadł z wykrzykiem bolesnym. Lecz za chwilkę wstał znowu i chromając szedł dalej, aż przybyli do ciemnej chaty biednej Magdy. Latarnia oświeciła cokolwiek te smutne kąty, a kapłan spostrzegłszy na barłogu chorą i pozdrowiwszy Pana Boga rzekł łagodnym głosem: „Magdo! słyszałem żeś niebezpiecznie chora.

„Oj tak, tak!“ — odpowiedziała słabym głosem Magda — „bardzo jestem słaba i czuję się bliską być śmierci, dziękuję wam dobrodziejaszku! żeście przybyli przygotować mnie na drogę do wieczności i tam wam jeszcze dziękować będę za to!“

„A czy to nie masz nikogo około siebie, coby cię opatrywał w chorobie.“

„Nikogo dobrodziejaszku!“ — „A gdzie syn twój Janek?“

„Oh! ten bezbożnik bynajmniej się o mnie nie stara, włóczy się po górach i żywi się z kontrabandu i kradzieży zwierzyny, jak mówią ludzie. Był tu przed kilku dniami, lecz iżem mu wyrzucała jego nieobyczajne życie, poszedł hardy i nie wrócił. Modliłam się za niego i proszę dobrodzieja, abyście i wy się za niego modlili; gdy mnie Pan Bóg zabierze z tego świata.“

Słaba Magda zamilkła, a kapłan rzuciwszy się na kolana modlił się za biedną matkę, która w ostatniej życia chwili pamiętała jeszcze na niewdzięcznego syna marnotrawnego. — Po modlitwie wydalił się kościelny a kapłan wysłuchawszy spowiedzi zaopatrzył chorą Sakramentami św. i wkrótce potem skonała.

Biedna Magdo! któż cię teraz pogrzebie, któż ciało twoje sprowadzi na dół i zaniesie do grobu? — Kapłan wziął ten obowiązek na siebie a obróciwszy się do kościelnego rzekł: „Szkoda, że tu nie masz nikogo, coby na noc został przy umarłej, obawiam się zostawić ją samą.“

„Dobrodzieju!“ — rzecze kościelny — „ja tu zostanę przy niej, bo mi noga napuchła, nie mógłbym wrócić do domu.“ A to mówiąc rozpruł bót i zamoczył spuchłą nogę w zimnej wodzie.

„I ja bym tu został“ — rzekł kapłan — „ale się obawiam, aby mnie nie zawołano do innego chorego.“

Niech ksiądz proboszcz idzie z Bogiem do domu, ja tu tymczasem wyleczę nogę i pomodlę się za umarłą.“

Kapłan zostawiwszy kościelnego z latarnią przy umarłej, puścił się w drogę sam jeden. Parne powietrze wyciskało mu pot gorący z czoła, ciemność taka panowała w lesie, że mimo wszelkiej ostrożności w postępowaniu nieraz zawadził o pniaki i drzewa.

Teraz nagła błyskawica oświeciła ciemność lasu, zabłysło drugi raz i trzeci a gruby grzmot zaczął huczeć po lesie. Mocny wiatr cinał gałęziami w twarz wędrowca, tak iż oparłszy się o sosnę wypocząć musiał na moment. Skoro wiatr zwolnił cokolwiek, ruszył kapłan dalej. W tej chwili uderzył o ucho jego wykrzyk przeraźliwy. „Dla Boga!“ rzekł ksiądz przelękniony — „co to? czy piorun zabił człowieka?“ — Jeszcze raz dał się słyszeć ten głos, jeszcze przeraźliwszy i — zamilkł.

Kapłan pospieszył na ratunek nieszczęśliwemu. W tej samej chwili zabłysło znów w powietrzu a oto kilka kroków przed sobą przedstawiła się księdzu scena, która dreszczem wskroś przeszyła wszystkie jego członki. Na mchu rozciągniony leży człowiek porządnie ubrany a nad nim schyla się inny w szermiędze wpatrując się w rysy jego twarzy. Twarz leżącego cała krwią zalana a czoło całkiem rozwalone. Niezawodnie spełnione tu było morderstwo a zbójca trzymał jeszcze w ręku kij gruby krwią zbroczony, jeszcze raz machnął i zabił zranionego. — Ksiądz osłupiał, morderca nie spo-

strzegł go mimo błyskawicy, zaślepiony zbrodnią popełnioną, odpiął zabitemu trzos z pieniędzmi i opasał około siebie.

Kapłan przyszedłszy znów do siebie zbliżył się do zabitego a schyliwszy się nań położył rękę na serce, — już bić przestało. W schylaniu wypadło mu coś z kieszeni, nie uważał na to, ani też na to, iż krwią zbroczył sutannę swoję. Teraz dopiero spostrzegł morderca świadka swej zbrodni, który groźnym głosem zawołał: „Nieszczęsny morderco! brzydkie łakomstwo zniewoliło cię do strasznej zbrodni, porzuć zdobycz, idź a wyznaj jawnie zbrodnie twoje, bo kto krew przelewa, tego krew przelaną będzie.“

Z postawionemi w słup oczami rzekł łotr do niego: „Popie! ruszaj zawczasu z miejsca a milcz, jeśli ci życie drogie jeśli sam nie chcesz paść trupem.“

Kapłan bezbronny niechcąc się narażać na większe niebezpieczeństwo, oddalił się ze łzami w oczach. Pogróżka złoczyńcy szumiała mu w uszach, głos ten był mu znajomy z dawnych czasów. „On to jest — on!“ rzekł z boleścią, „on mi groził śmiercią a jednak muszę go wydać w ręce sprawiedliwości.“ — W myślach zatopiony wrócił do domu, lecz straszna scena morderstwa ciągle stała mu w oczach. Długo bił się z tą myślą czyby istotnie był obowiązanym wyjawić zbrodnię, czy się też może sama wykłuje, lecz sumienie nie pozwalało mu milczeć. Padł na kolana przed obrazem Ukrzyżowanego, modlił się długo i dopiero nad ranem zasnął na moment.

Wróćmy do mordercy. Skoro tenże kapłana odpędził od zabitego i zagroził mu zemstą śmiertelną, niewymowny ogarnął go strach i rzucił nim o ziemię. Chciał się podnieść ale mu sił zabrakło. Rzekł tedy sam do siebie: „On mnie poznał, widział, żem zabił człowieka i niezawodnie poda mnie nazajutrz do sądu. Księdzu uwierzą, jestem zgubiony. Cóż mam począć? Ucieknę — daleko za morze, wszak mam pieniądze. Ale nie tak, boby mnie złapali, nim się dostanę do morza. Skryję się, aż ta rzecz pójdzie w zapomnienie; ale gdzie? — w górach mnie wyśledzą. Już wiem co uczynię: zabiję popa!“

Z tą myślą puścił się zbójca w drogę — deszcz rzęsisty padał — wkrótce stanął przed plebanią. Drzwi były otwarte, oprócz proboszcza tylko stara głucha gospodyni była w domu, nie obawiał się przeszkody. Teraz wydobył z kieszeni długi nóż ostry, wlazł do ciemnej sieni, w której jednak znał wszystkie kąty, bo tu w dziecinnych latach częstokroć przebywał. Proboszcz sprzyjał chłopcu, bo był pilny i pobożny. Ach! jakże teraz odmienił się umysł jego! Teraz zamyśla zabić tego księdza, który go po raz pierwszy przygotował do spowiedzi i prowadził do stołu Pańskiego, który go wtenczas napominał łagodnie, aby postępował drogą pobożności i bogobojności. — Już z nożem w ręku zbliża się do pokoju proboszczowego, lecz gdy spostrzegł kapłana modlącego się na kolanach, szepło mu coś do ucha: „Nie zabijaj pomazańca Pańskiego!" — Strachem przejęty opuszcza probostwo, ucieka w las i pada zdrętwiały na ziemię. Skoro przyszedł do siebie, widzi się przy trupie swej nieszczęśliwej ofiary. Z krzykiem ucieka, ale ręka Boska prowadzi go około chaty matki. Dawno już tu nie był, teraz tu szukał przytułku. Zbliżył się do barłogu i zawołał: „Matko!" Matka milczy, chwycił ją za rękę, ręka była zimna i zdrętwiała. „Nie żyje!" — westchnął głęboko i w tej chwili spostrzegł kościelnego — śpiącego. Jeszcze raz rzucił okiem na trupa i uciekł. C. d. n.

RÓŻA LEŚNA.

Powiastka z życia Indyan amerykańskich.

Ciąg dalszy.

Że przypadek ten nie pociągnął za sobą żadnych złych skutków, przeto mało na niego zważano. Z pomiędzy zgromadzonych mało było takich, którzy byli w niecne zamiary Menochtitlana i Pstręgo węża wtajemniczeni, dla tego poczytano skierowanie ostrza w pierś Karóla tylko za godną nagany nieuwagę. I na tem się skończyło.

Następował teraz główny popis, jaki miał Karól złożyć. Niedaleko ode wsi znajdowała się płaszczyzna ogołocona

wprawdzie z drzew, ale za to zarosła trawą wysokości człowieka. Ktokolwiek się w niej znajdował, a szedł cokolwiek pochyło, mógł być pewnym, że go trawa całkowicie zasłoni przed wzrokiem ludzkim. Tu w tej trawie miał Karól okazać próbę swej zręczności. Odebrano mu tomahawk, a wręczono lasso*), w którego rzucaniu mianowicie Komansze są mistrzami. Z owem lasso miał się ukryć Karól w trawie, jeden z Komanszów, także tylko uzbrojony w lasso, wszedł o pięćset kroków od niego w trawę. Chodziło teraz o to, aby się obaj przeciwnicy szukali i starali jeden drugiego pochwycić na lasso.

Ponieważ u Indyan ma wielkie znaczenie sztuka zbliżenia się niepostrzeżnie na stepach do dziczyzny, dla tego też było to ważnym punktem w przyjęciu Karóla jako członka pokolenia Komanszów.

Karól już oddawna jako traper ćwiczył się nie tylko w rzucaniu lasso, ale i w podchodzeniu dziczyzny, dla tego rzecz mu ta nie była nową. Wiedział jednakże, że takiej wprawy, jak Indyanie, nie posiada. Lecz co mu brakło we wprawności, to nagradzała zręczność i wyższa inteligencya.

Skoro ujrzał się w otaczającej go trawie i usłyszał sygnał naczelnika do rozpoczęcia tajemnej gonitwy, pochylił się jeszcze mocniej, przypomniał sobie w duszy dokładnie miejsce, gdzie jego przeciwnik ukryty i ruszył naprzód w tę stronę, trzymając gotową pętlicę lasso do natychmiastowego użytku w prawej ręce.

Zwrócił się na lewo, gdyż sądził, że lepiej będzie ostróżnego przeciwnika zaskoczyć z boku. Zwolna rozkładał trawę, aby poruszeniem czubków nie zdradził przeciwnikowi własnego stanowiska. Ostrożnie stąpał naprzód, gdyż nawet szelest liści suchych na ziemi mógł go zdradzić. Prócz tego musiał uwagę zwracać jeszcze na co innego, a mianowicie na mały gatunek wężów, tu dość pospolitych. Już kilkakrotnie owe czarne gadziny, których ukąszenie jest bardzo

*) Lasso, lina długa rzemienna, na końcu której robi się pętlica. W stósownej chwili rzuca się lasso na nieprzyjaciela i w znacznej odległości zadzierzga go się na pętlicę. Używają lasso mianowicie do polowania na bawoły lub dzikie konie. Lecz i dla ludzi jest ono bardzo niebezpiecznem.

jadowitem, przemykały się, sycząc, koło jego nogi. Musiał więc przed nimi bardzo mieć się na ostrożności.

Uszedłszy około pięćdziesiąt kroków w bok, począł rozważać, czyby nie było lepiej zatrzymać się tutaj i odczekać, dopóki przeciwnik się nie zbliży i nie zdradzi się jakiem poruszeniem. W tym celu usiadł w trawie i około dziesięć minut z natężoną uwagą śledził każdy choćby najdrobniejszy szelest. Wprawdzie szeleściły trzcinowate liście i łodygi, ale to było skutkiem powiewu wiatru, który je poruszał i tarł jedne o drugie. Napróżno jednak wyczekiwał poruszenia wierzchołków trawy, któreby mu wskazało miejsce pobytu przeciwnika. Na każdy mocniejszy powiew wzdrygał się mimowoli, i pozostawał w ustawicznem naprężeniu ducha, ponieważ mu się zdawało, że raz z boku, raz z przed siebie, raz po za sobą, świszczy nad nim lasso Komanszy.

Naprężenia tego dłużej wytrzymać już nie mógł. Nie zważając na to, że w najbliższej chwili może wpaść w ręce przeciwnika, począł iść schylony naprzód.

Teraz zdawało mu się, że tuż przed sobą słyszy szelest swego przeciwnika. Zatrzymał się więc i nieruchomie go oczekiwał. Lecz wnet poznał, że i tym razem się omylił, dla tego zaczął iść dalej.

Zadziwiło go to teraz nie mało, że według obliczeń musiał już przejść całą przestrzeń dzielącą go od Indyanina, a jednakże ani na niego nie natrafił, ani też nie dostrzegł żadnego znaku jego bliżkości. Zdawało mu się, że wie dobrze miejsce, w którem ukrył się przeciwnik, nie mógł zatem przypuścić, aby się miał pomylić w kierunku. Chyba tylko mógł przypuścić, że przeciwnik jego z miejsca się nie ruszył, i jego oczekuje ,na ten sposób byłby przeciwnik w korzystniejszem od niego położeniu, gdyż on zbliżając się, pierwszy zdradziłby swą obecność.

Ale jednakże posuwał się dalej. Nagle się zastanowił i w tej chwili rzucił się na ziemię, albowiem tym razem się nie mylił. Wyraźnie bowiem słyszał, jak tuż przed nim łodygi zaszeleściły, jakby się coś przez nie przeciskało. Z natężoną uwagą słuchał dalej, i w samej rzeczy wątpić nie

mógł, że się przeciwnik zbliża. Nawet zauważył, że się czubki trawy poruszają i to poruszenie falowało dalej.

Na pół wzniesiony, z głową pochyloną naprzód, z przygotowanem lasso, oczekiwał przeciwnika i obliczał sekundy, kiedy się tenże ukazać musi. Nagle, niespodzianie uczuł szarpnienie na szyi, i to tak silne, że wydawszy przytłumiony okrzyk, runął na ziemię.

Oczywiście, nie mógł inaczej sądzić, jak że go jego zgrabniejszy przeciwnik podszedł i pokonał. Nim się jednakże zdołał zerwać, ujrzał nad sobą piekielną zemstą pałającą twarz... Pstręgo węża, który wzniósł błyszczący nóż w górę, aby go uderzyć w piersi.

Uniknąć pchnięcia było już za późno. Jedynie co mu pozostawało, było szybkie usunienie się na bok. Pchnięcie nastąpiło, ale ugodziło tylko nieszkodliwie w ramię. Wtedy siłą rozpaczy pochwycił Karól Pstrego węża, który mu ukląkł na piersiach, za ręce, i nastąpiło krótkie, ledwo kilka sekund trwające pasowanie. Niebezpieczeństwo dodało Karólowi mocy. Jednem silnem natężeniem odrzucił nikczemnika od siebie, a potem się zerwał, aby się rzucić na niego. Lecz przerażony odskoczył na bok, gdyż Pstry wąż był już bez duszy.

Nikczemnik upadając, padł na własny nóż, który mu ukwił w sercu.

Ten sam więc nóż, którym on chciał Karóla zgładzić, stał się przyczyną jego własnej śmierci, i zamiast w Karólowem, w jego utkwił sercu.

Kiedy się Karól zerwał na równe nogi, zerwał się także i jego dotąd ukryty przeciwnik, aby nań rzucić lasso i powalić go na ziemię. Ale jeszcze je wczas powstrzymał, wydawszy przytłumiony okrzyk zdziwienia, albowiem obok białego zobaczył rozciągnięte ciało Pstręgo węża. Także i Komansze stojący z daleka i niecierpliwie wyglądający końca pojęli teraz, że tam musiało zajść coś nadzwyczajnego. Wkrótce znaleźli się wszyscy obok jeńca, który jeszcze pomięszany i przerażony stał przy swym zabitym nieprzyjacielu.

Na widok trupa Pstręgo węża powstał ogromny rozruch. Menochtitlan, pełen złowieszczego przeczucia, — wiedział bowiem zapewne o zamiarach syna, — przypadł na pole walki, i wzniósł okrzyk pełen zemsty okrutnej. Mało co brakło, a na jego słowa, byliby mianowicie młodzi, natychmiast niewinnego Karóla uśmiercili.

Jednakże powaga Czarnego pióra zasłoniła na razie młodzieńca. Teraz natychmiast go związano i zawiedziono do obozu, gdzie Komansze zasiedli do narady, jak i co z nim począć. Ci, którzy już dawniej pragnęli śmierci jeńca, teraz domagali się energicznie i gwałtownie krwi bladolicego, z którego ręki padło dwóch ich towarzyszy. Oczywiście, że najgwałtowniej domagał się jego krwi Menochtitlan.

— Za czem czekacie wojownicy, — wołał głosem piekielnej nienawiści, — za czem czekacie? Czemuż nie pomścicie przelanej krwi waszych najlepszych wojowników ręką tego niegodziwego bladolicego? Czyż wasi towarzysze mają niepomszczeni wnijść na pola łowieckie, aby ich niewiasty palcami wytykały i wojownicy inni się od nich z pogardą odwracali. Chcecie tak długo czekać, aż bladolicy wszystkie nasze wigwamy opustoszy? Menochtitlan słyszał tej nocy głos Wielkiego Ducha. Gniewny mówił on, że krew czerwonych wojowników popłynęła i musi być pomszczoną; chce on pić krew bladolicego a jego skalp przywiesić do strzemion rumaka!

Dzikie okrzyki rozdarły powietrze na to fanatyczne odezwanie się czarnoksiężnika. Napróżno Karól wołał i tłómaczył, że Pstry wąż jego właśnie chciał zabić zdradziecko, i że on jego śmierci nie winien. Nic to nie pomogło, gdyż głos jego utonął w dzikich okrzykach pragnących zemsty. Czarne pióro, naczelnik, zrozumiał bardzo dobrze, że Karól jest niewinnym, zmiarkował całe położenie rzeczy, oraz poznał zdradzieckie zamiary Menochtitlana i jego syna, jednakże uznał, że sprzeciwienie się teraz całemu pokoleniu i jemu zagrażałoby nie mało. Żatem chcąc nie chcąc musiał Karóla poświęcić. Dla tego zwołał więc starszych na naradę.

Ciąg dalszy nastąpi.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Kraje co Poniatowski odebrał, oddaje Napoleon Austryakom.

Wojska polskiego zamiast ubywać, z każdym dniem przyrastało, tak, że z 13 tysięcy po trzech miesiącach wojny, było 60 tysięcy

Napoleon przez ten czas zbił z kretesem Austryaka i wszedł do Wiednia. Zabrały się też Austryaczyska z Warszawy i całej Galicyi i pośli sobie, zostawiając bez sprzeczki Polakom cały kraj. Któżby się też był spodział, że z tego wszystkiego Polski nie będzie —słuchajcie więc, co się dzieje.

Napoleon tak zbił wojska cesarza Austryackiego, że był mógł z jego krajami robić, co mu się jeno żywnie podobało, bierze się więc Austryak do takiego sposobu. Miał on młodą i ładną córkę, powiada więc Napoleonowi, że mu ją da za żonę. Bardzo się to Francuzowi spodobało, choć był żonaty ale że jego żona nie była królowa, bo ją pojął kiedy był jeszcze Jenerałem, przytem już w podeszłych latach, a nie miała z nim dzieci, więc choć była dobra uczciwa kobieta, umyślił się z nią rozwieść, a pojąć cesarzównę, co też i bardzo głaskało jego pychę. Powiada więc Austryakowi, że chce jego córkę, a wtedy już między ojcem i zięciem wszyskto inaczej poszło.

Nietylko że o Polsce ani wzmianki, ale nakazuje Napoeon oddać Austryakom większą połowę tego kraju, co Polacy teraz sami zdobyli. Dostali więc Polacy jeno Kraków i cały kraj aż pod Zamość, a z Wieliczki nawet, gdzie to sól kopią, oddaje połowę Austryi Nie koniec na tem: urywa Napoleon kawał kraju od Podola, co do tego czasu Austrya trzymała i daje carowi moskiewskiemu za tę śliczną pomoc, co przysłał Polakom, a było na tym kawale, co wzięła Moskwa 400 tysięcy mieszkańca.

Napoleon rozgniewany na Anglików, iż go jedni na świecie słuchać niechcą.

Jęknęła z żalu cała Polska i przestała wierzyć Francu-

zom na zawsze. Po tem zwycięztwie nad Austryakiem wszystkie narody słuchały Napoleona jakby swego pana, bo to Włochowie, Hiszpani, Szwedowie, Turki, Niemcy, Moskale. Ale choć go z bojaźni słuchali, radzili jednak skrycie, jakby się to najprędzej jego panowania pozbyć. Jedni Anglicy, co byli z Napoleonem w bezustannej kłótni, a nie łatwo mu ich było zawojować, bo angielski kraj, to wyspa do koła oblana morzem. Anglicy sami doskonale umieją okrętami po morzu pływać i wojować, boć inaczej nigdzie nie mogą się przedostać, Francuzi zaś nie tacy dobrzy wojownicy na morzu jak na ziemi, więc choć się już skradali na pobicie Anglików, to im się nie powiodło. Gniewało to bardzo Napoleona, że tego jednego kraju upokorzyć nie może, więc bierze się do takiego sposobu. Anglicy są bogaci, ale nie z roli, bo u nich nie tyle ziemi urodzajnej co w Polsce, jeno z rzemiosł i z kupczenia. Są też pracowitymi aż do zbytku, bo dziecko zaledwie chodzi, a już mu rodzice każą obracać jakie kółko u maszyny, aby sobie zarabiało. Wszyscy się kręcą jak mrowisko, posyłają swoje roboty do cudzych krajów, tam je sprzedają, a za pieniądze kupują w obcych krajach zboże i tak żyją. Zakazuje więc Napoleon, aby nikt się nie ważył angielskich towarów kupować, ani na odwrot swego zboża im przedawać. Wyrządził tem sposobem nie małą psotę Anglikom, powstała u nich wielka bieda i ucisk. Ale i inne kraje na tem cierpiały, bo nie miały swego zboża gdzie sprzedać, ani zkąd wziąść wielu bardzo potrzebnych towarów. Wszystko więc co trzeba było kupić podrożało, a co przyszło sprzedać, potaniało; najciężej już było w krajach moskiewskich, bo to Lud do rzemiosł mało sposobny, więc też ich car kazał im potajemnie z Anglią handlować. Patrzał Napoleon na to przez szpary, umyślił jednak w czasie Moskwę ukarać za takie nieposłuszeństwo.

Polakom trochę lżej na świecie, bo Car moskiewski i Napoleon gotują się do wojny.

Już upłynęło blisko trzy lata, jak było Księstwo Warszawskie; Polacy wypoczywali sobie trochę po krwawych wojnach, a choć kraj biedny i zniszczony, zakładali szkoły

nietylko po miastach, ale w miarę możności i po wsiach, aby się i chłopy oświecały. Prawa, któremi się rządzili, były bardzo za wolnością i równością między wszystkimi ludźmi, więc też oprócz powszechnej biedy nie było żadnego uciemiężenia i przewodzenia jednego nad drugim. Krzątali się też Polacy jak mogli, znosili ciężary bez szemrania, wesoło im było, bo wciąż żyli w oczekiwaniu, że przecież coś pewniejszego i lepszego dla Polski nadejdzie.

Patrząc na to wszystko Car moskiewski Aleksander zaczął też troszkę folgować Polakom, co byli pod jego rządem, chcąc im przez to pokazać, że i pod nim mogą żyć tak szczęśliwie jak i pod Napoleonem. Nie kazał już brać na Syberyą, pozwolił zakładać szkoły, przypominał im sam nie raz, że są Polakami, i mawiał: że jeżeli mu będą wiernymi, to zrobi królestwo polskie i zostanie ich królem. Polacy wydziwić się tej odmianie nie mogli i miarkowali, że ta dobroć udana nie na próżno. Tak też i było — bo Car potajemnie gotował się przez trzy lata do wielkiej wojny, więc chciał, żeby Polacy z nim trzymali i jemu wiernie służyli. Kiedy już Car widział, że dosyć urosł w siłę, kazał swoim Moskalom, aby jawnie wszystko do Anglii sprzedawali, i od Anglików napowrót towary skupowali. Śle Napoleon do niego posłanników, upominając go o dotrzymaniu tego co przyrzekł, bo inaczej przyjdzie do jego kraju z wielkiem wojskiem. Car odpisał, przyjdź Cesarzu! niech płynie krew ludzka. I na rozkaz cesarza Francuzów i Cara moskiewskiego miliony Ludu gotowały się do boju, aby się mordować, broczyć we krwi i ginąć dla ich woli. C. d. n.

Nieporozumienie. W lichej jednej karczmie spotkało się w przejeździe dwu podróżnych, jeden z nich był niemcem, a drugi polakiem. Niemiec mało co umiał po polsku. Gospodyni przyniosła im miskę pierogów z serem, ale że nie miała talerzy ani nawet więcej misek, więc z tej samej jednej, obaj goście jeść razem poczęli. Starali się w jednym czasie łyżki do ust podnosić, aby jeden drugiego nie pokrzywdził. Ale niemiec każdy pieróg dzielił sobie na połowę i po jednej części zjadał. Polak zaś z lepszym apetytem brał do ust po całym pierogu. Lecz po niejakim czasie niemiec spostrzegł się i bojąc się, aby go nie objedzono, zawołał:—Panie polak, dwój! to będzie równo. Polak w najlepszej myśli, sądząc, że trzeba podwoić, by niemcowi dorównać, zaczął po dwa pierogi naraz zabierać na łyżkę i do ust wkładać. Niemiec przerażony, krzyczeć począł:—Gewalt, rabunek, panie polak! Gdy ten zapytawszy o przyczynę krzyku dowiedział się o co chodzi, oddał mu misę z resztą pierogów i śmiejąc się, rzekł: — Kiedyś już przyjechał do polskiej ziemi, panie niemiec, i zjadasz polskie pierogi, to wyucz się przynajmniej lepiej polskiego języka.